

DROGA BEZ POWROTU

K R Z Y S Z T O F K O Z I O Ł E K

**Kryminał, którego
akcja rozgrywa się
w Karkonoszach**

**MANUFATURA
TEKSTÓW**

DROGA BEZ POWROTU

K R Z Y S Z T O F K O Z I O Ł E K



[Kup książkę](#)

Redakcja
Alfred Siatecki

Korekta
Manufaktura Tekstów

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Grafika
Marek Sarnowski

Pomysł okładki
Krzysztof Koziołek

Zdjęcia
Mirosław Ściepuro

Projekt okładki
Kamil Pietruczynek

www.kamilpietruczynek.pl

Copyright © by Krzysztof Koziołek 2007
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2012

www.manufakturekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolek.pl

Wydanie szóste
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-945878-2-6

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

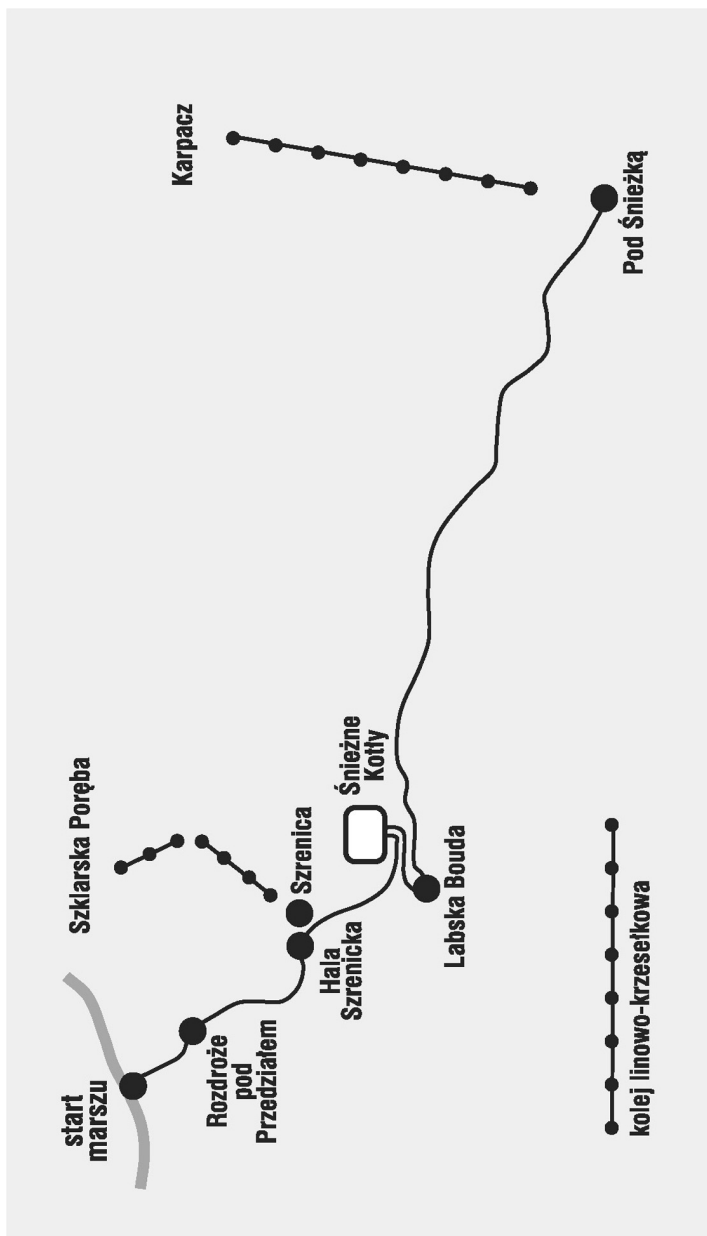
[Kup książkę](#)

*Dedykuję
Wszystkim Dobrym Ludziom*

[Kup książkę](#)

*Pamiętaj, że najważniejsze jest
aby to, co najważniejsze
pozostało najważniejsze*
Ktoś





ROZDZIAŁ 1

Smród kurzych gównien był tak intensywny, że czuć go było nawet w zamkniętym samochodzie. I to z odległości ponad stu metrów. Gdy Sokół wysiadł z taksówki, odór stał się jeszcze bardziej nie do wytrzymania. Po zrobieniu kilku kroków poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Zasłonił usta i nos chusteczką, ale to niewiele dało. Kilkanaście sekund później zjedzone godzinę wcześniej śniadanie zwrócił, ledwie zdążył się ustawić z wiatrem tak, aby nie ochlapać spodni i butów. Kątem oka dostrzegł, jak kierowca taksówki otwiera okno i też puszcza olbrzymiego pawia.

– Odjeżdżam stąd z panem lub bez. Ten smród jest nie do wytrzymania! – krzyknął taksówkarz w jego stronę. – To jak?

– Pięć minut, tylko zrobię zdjęcie. Niech pan poczeka.

– Ani minuty – taksówkarz pokręcił głową i jeszcze raz zwymiotował. Chwilę później Sokół usłyszał, jak włącza silnik. – Odjeżdżam! – krzyknął raz jeszcze taksówkarz, wyciągając ze schowka rolkę papieru toaletowego. Oderwał kawałek, wytarł nim usta, zamknął okno i odjechał.

– Ale ten tydzień się zaczyna – Sokół machnął ręką na taksówkę. Westchnął i znowu zwymiotował. Tym razem już nie zdążył się odwrócić i część wymiocin wylądowała na spodniach. – Świetnie – skrzywił się, sięgając do torby po aparat fotograficzny.

Przytykając chusteczkę do nosa, podszedł pięćdziesiąt metrów w stronę zwałów kurzych gównien. Trzymając aparat drugą ręką zaczął robić zdjęcia. Zrobił ich kilka i przejrzał, żeby zobaczyć, jak wyszły. Zdecydowanie najlepsze było to, na którym chmara ptaków żerujących na hałdzie podrywała się do lotu.

Schował aparat do torby. Teraz musiał oszacować, ile tego gówna tutaj jest. Hałda miała około metra wysokości

i dziesięć metrów szerokości. Odszedł na bok, aby obliczyć – choćby orientacyjnie – jej długość. Dzięki temu wyszedł nieco poza teren, na który wiatr zawiewał odór. Tutaj, choć dalej śmierdziało niemiłosiernie, można było przynajmniej oddychać.

Hałda ciągnęła się jakieś pięćset metrów. – Metr razy dziesięć i razy pięćset, daje pięć tysięcy metrów sześciennych kurzego gnoju – liczył na głos. I to w odległości pół kilometra od miejskiego kąpieliska w Nowej Soli! Kurze łajno na takiej hałdzie to wielka kupa amoniaku. Wystarczy, że spadnie większy deszcz, który wymyje amoniak z gówna, ten przedostanie się do wód gruntowych i czterdziestotysięczne miasto zostanie bez kąpieliska. Z tego co mówił czytelnik, który poinformował go o tej hałdzie, leżała ona tutaj od kilku dni. Co prawda od tygodnia temperatura w dzień nie przekraczała czterech stopni na plusie, ale gdyby przyszło nagłe ocieplenie i deszcz... – To mam temat – ucieszył się. Zadzwoił z komórki do centrali redakcji w Zielonej Górze i pokrótce opisał całą sytuację. Potem pieszo ruszył do oddziału.

*

Do przejścia miał ponad pięć kilometrów. Przez całą tę drogę towarzyszył mu smród kurzego gówna. Choć podczas robienia zdjęć starał się nie wdepnąć w żadną kupę rozrzuconego pomiotu, to widocznie się nie udało i jakieś drobiny dostały się pomiędzy bieżnik butów. Wycierał podeszwy o każdą kępę trawy, jaka nawinęła się pod drodze, jednak mimo to buty jak śmierdziały, tak śmierdziały.

– Rany, ale smród – przywitał go ochroniarz, zatykając nos. – Gdzie pan był?

– Zwiedzałem hałdę kurzego gówna – odpowiedział. – Ma pięć tysięcy metrów sześciennych i chyba w kawałek tego syfu wdepnąłem.

Wszedł do biura, ściągnął zafajdane buty i założył tenisówki, które trzymał w szafie. Z tej samej szafy wyciągnął szmatę i gumowe rękawice. Chwycił śmierdzące obuwie za sznurówadła i poszedł do toalety.

Po godzinie szorowania buty dalej śmierdziały. Śmierdziała także szmata, a w dodatku odór rozniósł się po wszystkich piętrach. Rzucił buty na podłogę, ściągnął rękawice i długo mył ręce. Włożył kurtkę i w tenisówkach wyszedł na ulicę. W kiosku kupił opakowanie patyczków do czyszczenia uszu. Dzięki nim mógł dotrzeć do przestrzeni między bieżnikami butów, czego szmatą nie udało się zrobić. Po kolejnej półgodzinie szorowania buty wreszcie były czyste, a przynajmniej takie sprawiły wrażenie i już nie śmierdziały. Umył zlew, a szmatę i patyczki zapakował do foliówki i wyrzucił do pojemnika na śmieci stojącego na podwórzu.

*

Po powrocie do biura zauważył, że ktoś dzwonił na jego komórkę. I to aż sześć razy. Nie kojarzył numeru, więc odzwonił z telefonu stacjonarnego.

– Dzień dobry – zaczął rozmowę. – Przed chwilą ktoś z tego numeru dzwonił do mnie kilka razy na komórkę.

– Ja telefonowałam – w słuchawce usłyszał ciepły kobiecy głos. – Czy interesuje pana wielka afera? Bardzo wielka.

– Każdego dziennikarza interesują afery – odpowiedział ostrożnie.

– Opowiem panu wszystko po kolei. Ale nie przez telefon.

– Pani się czegoś boi?

– Na moim miejscu każdy by się bał – odpowiedziała.

– Sprawa, o której chciałbym panu opowiedzieć, dotyczy najważniejszych osób w naszym państwie. Najważniejszych

– powtórzyła z naciskiem. – W ostatnich tygodniach trzy osoby straciły życie tylko dlatego, że coś o niej wiedziały.

W tej trójce był mój narzeczony...

– Straciły życie? – przerwał jej. – A policja, prokuratura...?
– Centralne Biuro Śledcze? Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego? – dokończyła. – Mój narzeczonny myślał tak jak pan. Chciał się podzielić swoją wiedzą z którąś z tych instytucji. Nawet nie wiem z którą. I zginął.

– Rozumiem – nic nie rozumiał, ale nos podpowiadał mu, że kroi się coś poważnego. Nie przypuszczał nawet, jak wielki wpływ ta rozmowa będzie miała na jego życie. – Kiedy możemy się spotkać?

– Jestem jeszcze we Wrocławiu. Do Nowej Soli przyjadę dziś wieczorem. Może zadzwonię do pana jutro rano i umówimy się na konkretną godzinę?

– Może być. Chciałbym tylko wiedzieć jeszcze jedną rzecz.

– Dlaczego pan? – uprzedziła pytanie.

– Dlaczego ja.

– Bo znam kogoś, kto zna pana. I to bardzo dobrze. Ten ktoś twierdzi, że panu można zaufać. No i nie bez znaczenia jest fakt, że nie miał pan styczności z wielką polityką.

– To plus?

– Zależy, co pan ma na myśli – wyczuł, że kobieta się uśmiechnęła. – Dla mnie oznacza to tylko tyle, że nie jest pan w to zamieszany.

– Nie byłem.

– Nie rozumiem? – zdziwiła się.

– Powiedziała pani, że nie jestem w to zamieszany. Użyła pani niewłaściwego czasu. Nie byłem zamieszany. Po tym, jak pani do mnie zadzwoniła, już jestem.

– Fakt – potwierdziła. – W takim razie, do jutra.

– Do jutra.

Sokół usiadł w fotelu, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Z tonu jej głosu wywnioskował, że nie jest histeryczką albo psychicznie chorą.

– Tak? To ciekawe, jaki ton głosu przez telefon mają psychopaci? Jakbym był specjalistą, który potrafi to przeanalizować podczas kilkuminutowej rozmowy – zreflektował się.

ROZDZIAŁ 2

Magda Pawłowska – kobieta, do której Sokół przed chwilą zadzwonił – odłożyła komórkę na biurko. Usiadła na sofie, wzięła do ręki stojącą na stoliku obok fotografię i rozplakała się.

Na zdjęciu widać było roześmianą parę: ją samą i mężczyznę – przystojniaka w mundurze – na którego szyi się uwiesiła. To był jej narzeczon, Marek. Narzeczon od czterech tygodni, odkąd to oświadczył się jej w schronisku Strzecha Akademicka w Karkonoszach.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego dnia. Tuż po przebudzeniu Marek pocałował ją w czoło i oświadczył, że zaplanował niedługą i niezbyt męczącą wędrówkę. Faktycznie, zaledwie po trzech godzinach drogi, i to w spacerowym tempie, dotarli do Strzechy Akademickiej. Rozłożyli się przy stole przed schroniskiem i wyciągnęli przygotowane wcześniej bułki. W pewnym momencie Magda ugryzła kęs i poczuła, że w środku bułki coś jest. Kiedy ją otworzyła, między plasterkami szynki i żółtego sera zobaczyła papierową kulkę. Niczego nie podejrzewając, rozwinęła ją, żeby sprawdzić, co jest w środku. Gdy jej wzrok padł na pierścione, Marek spytał, czy wyjdzie za niego za mąż.

To było zaledwie cztery tygodnie temu... Mocno przycisnęła ramkę ze zdjęciem do piersi. Z kieszeni spodni wyciągnęła chusteczkę i wytarła oczy. Przez chwilę siedziała jeszcze w fotelu, potem odłożyła ramkę na stół i wstała.

Spuściła żaluzje we wszystkich oknach w pokoju. Podeszła do starego obrazu, który wisiał na ścianie. Odsunęła go i zdjęła z haczyka. Pod obrazem znajdował się sejf. Wybrała odpowiednie liczby i otworzyła skrytkę. W środku były banknoty, torebka z rodową biżuterią i teczka. Wyjęła z niej plik zdjęć, poźółkłych już nieco ze starości. Sądząc po fryzurach jakie miały osoby na fotografiach, zostały zrobione ćwierć wieku, a może trzydzieści lat temu. Z tyłu każdej fotografii widniał duży czerwony napis „kopia”. Podeszła do faksu, który stał na stoliku, kolejno wkładała do podajnika zdjęcia, naciskając za każdym razem guziczek „copy”.

– Jakość kopii nie jest może doskonała, ale do przekonania tego dziennikarza powinna wystarczyć – pomyślała. Robiąc kopie, starała się nie patrzeć na fotografie. Oglądała je raz w życiu i więcej nie miała zamiaru tego robić.

To było niespełna trzy miesiące temu, gdzieś w połowie października. Jej matka chrzestna miała wypadek samochodowy. W ciężkim stanie leżała w szpitalu, a lekarze nie dawali jej większych szans na przeżycie. Podczas jednych z odwiedzin chrzestna obudziła się. W pokoju była tylko Magda. Chora przywołała ją szeptem i opowiedziała historię, na wspomnienie której jeszcze teraz przechodziły ją ciarki po plecach. Na koniec chrzestna ujawniła miejsce, w którym schowała zdjęcia – niemych świadków tamtych zdarzeń. Mogły one powiedzieć dużo więcej, niż opowiadanie słowami tego, co się wtedy stało.

Umierająca wymusiła też na Magdzie przyrzeczenie, że ta wyciągnie zdjęcia ze schowka i spali je. Tak samo jak list, w którym chrzestna opisała dokładnie to, co wydarzyło się dwadzieścia siedem lat temu w motelu pod Zieloną Górą. Magda spojrzała na pierwszą stronę listu: był datowany 6 września.

Tuż po rozmowie z chrzestną wyjęła zdjęcia i list ze schowka. Do dziś na wspomnienie tego, co na nich zobaczyła, brało

ją obrzydzenie. To dlatego nie chciała ich nigdy więcej oglądać. Zdjęcia przedstawiały troje ludzi: mężczyznę i dwie kobiety. Cała trójka była naga, każde mogło mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Pozy jednoznacznie wskazywały na charakter ich znajomości. Jedną z kobiet była matka chrzestna.

Wewnątrz teczki, oprócz zdjęć i listu napisanego przez chrzestną, była koperta, bez adresu zwrotnego, z jedną kartką. Na niej pismem maszynowym ktoś napisał tylko jedno zdanie: „Jeśli nie chcesz, żeby rodzina dostała te zdjęcia na Gwiazdkę, siedź cicho”. Ze stempla na kopercie można było się dowiedzieć, że list wysłano 1 września. Pięć dni później chrzestna napisała swój list.

Wszystko, co Magda znalazła w teczce, miała spalić, ale tego nie zrobiła. Dwa tygodnie po śmierci jej cioci, a kilka dni po zaręczynach, pokazała to wszystko Markowi. Obejrzał dokładnie zdjęcia. Gdy rozpoznał mężczyznę na fotografii, ogromnie się zdenerwował. Powiedział, że jako pracownik Biura Ochrony Rządu zna odpowiednich ludzi, którzy będą wiedzieli, co trzeba z tym zrobić. Pięć dni później już nie żył.

Policja podała, że postrzelił się śmiertelnie podczas czyszczenia broni. Magda od początku w to nie wierzyła, bo Marek zawsze przed czyszczeniem służbowego pistoletu dokładnie oglądał komorę nabojoową. Robił tak pomny tego, że jego dziadek postrzelił się podczas czyszczenia strzelby po polowaniu.

Dzień po śmierci Marka w wypadku samochodowym zginął Mikołaj, jego przyjaciel i partner w pracy, z którym pracował od kilku lat. Choć nie miała żadnych dowodów, przypuszczała, że zanim Marek zginął, powiedział Mikołajowi o zdjęciach i o liście.

A to oznaczałoby, że śmierć ich obu nie była przypadkowa.

Wzięła teczkę, włożyła do niej z powrotem zdjęcia i oba listy. Ale nie schowała jej do sejf, tylko wsunęła do większej koperty, zakleiła ją i zaadresowała. Do drugiej koperty, trochę mniejszej niż pierwsza, włożyła kserokopie dokumentów zrobionych przy pomocy faksu. Mimowolnie spojrzała na jedno ze zdjęć. Matkę chrzestną rozpoznała bez problemu. Drugiej kobiety nigdy nie widziała. Nie miała za to kłopotów z rozpoznaniem mężczyzny. Mimo że fotografię zrobiono tak dawno temu, chyba każdy, kto na nią spojrział, bez problemu rozpoznałby tę postać.

To był urzędujący prezydent Rzeczypospolitej.

ROZDZIAŁ 3

Magda bardzo chciała teraz zadzwonić do swojej siostry i do mamy, żeby opowiedzieć o tym, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie i miesiące. I poprosić je o pomoc. Mama zawsze wiedziała, co robić, tak samo zresztą jak Patrycja, jej starsza siostra. Wystarczy podnieść słuchawkę, wybrać numer i...

I co? Opowiedzieć, co się stało? Dlaczego zginął Marek, dlaczego zabito Mikołaja? Co dalej? Przecież ci, którzy zabili jej narzeczonego, mogliby zabić też siostrę i mamę. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie może do nich zadzwonić, choć tak bardzo tego pragnęła.

– Ale dlatego zadzwoniłam do dziennikarza – upomniała się w myślach. Wiedziała, że to było okrutne: ryzykować życiem kogoś obcego. Lecz musiała tak postąpić, dlatego że... że on był właśnie kimś obcym. Kimś, kogo mogła poświęcić. Po tym, co stało się Markowi, nie mogła już ryzykować życiem nikogo z tych, których tak bardzo kochała.

Wzięła kopertę i wyszła z mieszkania. W drodze na dworzec kolejowy weszła na pocztę, kupiła znaczek, nakleiła go na kopertę i wrzuciła do skrzynki. Drugą kopertę, tę z kopia-
mi, miała w torebce.

Pół godziny później, punktualnie o 17.10, pociąg do Zie-
lonej Góry ruszał już z dworca głównego we Wrocławiu.
W Nowej Soli miał być za trzy godziny i dziesięć minut.

*

Drogę Magdy z mieszkania na dworzec obserwował mę-
czyzna w ciemnym płaszczu. Kiedy wsiadła do pociągu, wy-
jął z kieszeni telefon komórkowy.

– Ruszyła. Jadę do mieszkania – rzucił krótko do słuchawki
i się rozłączył. Poszedł na przystanek tramwajowy położo-
ny nieopodal dworca. Po czterech minutach podjechała sie-
demnastka. Wsiadł do tramwaju, przejechał pięć przystan-
ków i wysiadł.

Trzy minuty później stał przed drzwiami mieszkania Mag-
dy. Otwarcie zamków w drzwiach zabrało mu najwyżej dwie
minuty. O wiele dłużej męczył się z szyfrowym zamkiem sej-
fu, ale i ten udało mu się otworzyć.

Jednak w sejfie nie było tego, czego szukał. W ciągu ko-
lejnej pół godziny mężczyzna przetrząsnął całe mieszkanie.
Nie bawił się w żadne subtelności, jak odkładanie rzeczy na
miejsce, aby nikt nie poznał, że były ruszane przez kogoś nie-
powołanego. Zaczął od opróżniania szuflad w komodzie, po-
tem przyszła kolej na szafy z ubraniami i łóżko. Rozdarł po-
szewkę kołdry i wszystkich poduszek. Następnie potężnym
nożem, z którym się nie rozstawał, rozpruł materac. Zerwał
też zasłony i firany z okna, zajrzał nawet pod dywan i zbił
klosz od lampy, ale i tam nie znalazł tego, czego szukał.

Jeszcze raz rozejrzał się po zdemolowanym pokoju. Jedyny-
mi rzeczami, które pozostały nienaruszone, były listwy przy-
podłogowe. Podważał je po kolei nożem i odrywał. Gdy i pod

nimi nic nie znalazł, zabrał się za łazienkę. Zerwał ze ściany szafkę, pod którą też nic nie było. Tak samo jak w schowku na wodomierz i w spłucze. Wyrwał nawet muszlę klozetową i sprawdził, czy niczego nie ukryto w syfonie.

Gdy poszukiwania w przedpokoju i kuchni też nie przyniosły rezultatu, wyciągnął telefon i wybrał ten sam numer, co na dworcu. Już po pierwszym sygnale telefon został odebrany.

– W mieszkaniu ciotki nic nie ma – rzucił krótko.

– Jesteś pewien? To musi tam być! – głos z drugiej strony słuchawki przeszedł w krzyk.

– Nie wiem czy musi. Na pewno nie ma. Sprawdziłem każdy centymetr – mężczyzna w ciemnym płaszczu był opanowany jak zwykle. W końcu za to mu płacono. – Co dalej?

– Poczekaj chwilę, muszę się zastanowić. Która jest godzina?

– Dochodzi 19.30.

– O której pociąg będzie w Nowej Soli?

– Około 20.20.

– Kurwa mać! – zaklął głos w słuchawce. – W tej chwili nikogo tam nie mamy.

– Ja mógłbym tam być za dwie godziny, może dwie i pół.

– Czyli dopiero o 22.30 albo później – obliczył głos w słuchawce. – Ta dziewczyna będzie miała dwie godziny, żeby komuś o tym opowiedzieć.

– Nic na to nie poradzę. Proponowałem, żeby już tutaj ją zdjąć. Byłoby po problemie.

– Gówno, gówno, gówno! – zaklął głos w słuchawce.

– Wiesz, dlaczego to ja jestem szefem, a nie ty?

– Nie, szefie – mężczyzna w ciemnym płaszczu nie wiedział, dlaczego to nie on jest szefem. Ale szczerze mówiąc, mało go to obchodziło. Lubił swoją pracę taką, jaka była. A że nie każdy szef, którego miał w życiu, darzył go szacunkiem, trudno.

– Bo jesteś za głupi – warknął głos w słuchawce. – Co z tego, że załatwiłbyś ją już teraz, skoro nie mamy pewności, że jej kochana ciocia nie zrobiła kopii tych zdjęć?

– A pomoże nam w tym puszczenie dziewczyny do Nowej Soli? Jeśli ciotka zdążyła zrobić kopie, gdzieś je ukryć i jakimś cudem przekazać te informacje dziewczynie, i to wszystko na łożu śmierci, to szybko wszystko bym z niej wyciągnął. Tutaj czy w Nowej Soli, co za różnica?

– Nie wątpię żebyś wyciągnął – rzekł oschle głos w słuchawce. Zdenerwował się na swojego człowieka, ale trzeba przyznać, że taki obrót sprawy to nie była jego wina.

– A jeśli ciotka dziewczynie nic nie powiedziała, to nie musimy się niczym martwić.

– Więc nie trać czasu na gadanie. Jedź za nią do Nowej Soli – polecił głos w słuchawce. – I zanim załatwisz sprawę po swojemu, dowiedz się, co ona wie. A przede wszystkim, czy komukolwiek zdążyła coś powiedzieć. Jeśli tak, to wiesz, co trzeba robić.

Mężczyzna w ciemnym płaszczu nie odpowiedział. Nie był amatorem, wiedział doskonale, co ma robić.

ROZDZIAŁ 4

Sokół oglądał ulubiony serwis informacyjny na kanale TVM. Imponował mu profesjonalizm głównego prowadzącego, Patryka Parczoka. No, nie tylko profesjonalizm. Zarobki też. Parczok po przejściu z publicznej telewizji do TVM zarabiał podobno osiemdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. Tyle, co Sokół w cztery lata. Tak, przede wszystkim imponowały mu zarobki Parczoka, jego profesjonalizm może trochę mniej.

Serwis rozpoczął się od wiadomości z kolejnej rozprawy sądowej przeciwko posłowi Lepińskiemu, oskarżonemu

o molestowanie seksualne pracownic swojego biura. Politykowi groziło osiem lat więzienia. Zdaniem Sokoła mało, bo za wykorzystywanie swojej pozycji i trudnej sytuacji materialnej pracujących w jego biurze kobiet do seksualnych harców, poseł powinien dostać co najmniej z dziesięć lat. Na szczęście tym razem wszystko wskazywało, że nie uda mu się wykipić karą w zawieszeniu. Kolejna wiadomość z cyklu „ciekawostki” była o pijanym rowerzyście, który dziewiąty raz został przyłapany przez policję. Tym razem dlatego, gdyż zderzył się z innym pijanym cyklistą.

Na koniec prowadzący program Patryk Parczok połączył się ze studiem w Wilnie.

– Dziś mija drugi dzień szczytu gospodarczego, na którym państwa Unii Europejskiej i Rosja rozmawiają o gospodarce. Łączymy się z naszą korespondentką Łucją Szczypińską – prezenter się uśmiechnął. W okienku po prawej stronie ekranu telewizora pojawiła się ładna brunetka.

– Kto to jest? – zdziwił się Sokół. Przecież w Wilnie pracował Jacek Prosch, którego miesiąc wcześniej poznał na mistrzostwach Polski dziennikarzy w piłce nożnej.

Poznał, to może niezbyt właściwe stwierdzenie. W ostatniej minucie meczu decydującego o wyjściu z grupy Sokół podciął Jacka Proscha tuż przed linią pola karnego. Prosch akurat wychodził na czystą pozycję i gdyby strzelił gola, zwyciężyłaby ekipa TVM. Ale nie strzelił, tak samo jak jego kolega z drużyny nie wykorzystał karnego, którego podyktował sędzia i sukces świętował „Nowy Głos Lubuski”.

– Zresztą, to był faul taktyczny – podkreślił Sokół w myśłach. Taktyczny, nie taktyczny, wyleciał za niego z boiska. No, ale czego się nie robi dla zwycięstwa?

Wracając do Jacka Proscha, to chwilę po faulu obaj niemal się pobili, ale na wieczornym grillu pili już razem piwo.

I właśnie tam się lepiej poznali, a Sokół dowiedział się, że Prosch pracuje w wileńskiej redakcji TVM.

– Skąd więc wzięła się tam ta lafirynda? – powtórzył na głos pytanie. Chociaż nie powiem, ma czym oddychać – uśmiechnął się.

Brunetka na ekranie też się uśmiechnęła.

– Witam cię Patryku, dobry wieczór państwu – zaczęła śpiewnym głosem. – Jak już powiedziałeś, tematem tego szczytu są stosunki gospodarcze między krajami Unii Europejskiej a Rosją. Przypomnijmy: Rosja to największy partner handlowy wspólnoty tuż po Stanach Zjednoczonych. Jeszcze istotniejsze są relacje z byłą potęgą światową dla naszego kraju – dla spotęgowania efektu na chwilę zawiesiła głos. – W zeszłym roku obroty pomiędzy Rosją i Polską sięgnęły rekordowych 16 miliardów dolarów. I to mimo zakazu importu jabłek i cebuli nałożonego w połowie roku przez władze Kremla.

– Wspomniałaś o zakazie – wtrącił się Parczok. – Czy jego zniesienie będzie tematem rozmów podczas szczytu?

– Nikt z obecnych tutaj przedstawicieli polskiej i rosyjskiej dyplomacji nie chce ujawnić, czy kwestia embarga na nasze owoce i warzywa stanie na forum. Wydaje się jednak, że ta sprawa może być odłożona na później – znów zawiesiła głos. – Jak udało mi się nieoficjalnie dowiedzieć, bardziej prawdopodobne jest, że ministrowie spraw zagranicznych Unii i Rosji będą rozmawiać o współpracy na polu energetycznym. Chodzi o tak zwany most energetyczny, o którego budowie mówi się od lat. To gazociąg, który miałby dostarczać do Polski i dalej na zachód Europy gaz, między innymi z rejonu Morza Kaspijskiego. Co istotne, gazociąg miałby co prawda na niewielkim odcinku biec przez terytorium Rosji, ale byłby zarządzany przez niezależną od tego kraju spółkę. Do tej pory Rosja na takie rozwiązanie stanowczo się nie zgadzała,

nie chcąc tracić pozycji monopolisty. Teraz okazuje się, że bardzo możliwe jest podpisanie porozumienia między Unią Europejską i Rosją na dostawy gazu ziemnego nowym gazociągiem przez najbliższe dwadzieścia lat.

– Gdyby tak się stało, to na dobre oddaliłaby się groźba energetycznego szantażu ze strony Rosji na naszym kraju – zauważył Parczok.

– Tak. Oznaczałoby to oszczędności dla polskiego budżetu na poziomie nawet czterech miliardów złotych rocznie. Tyle kosztuje utrzymywanie dodatkowych zapasowych złóż gazu oraz wyższa marża, jaką płacimy za to paliwo dostarczane z Norwegii i Kazachstanu.

– Kiedy mogą zapaść konkretne ustalenia?

– Jak to zwykle w takich sprawach bywa, rokowania mogą trwać nawet kilka miesięcy, ale niewykluczone, że zakończą się o wiele szybciej. Już sam fakt, że obie strony usiadły do stołu rozmów, świadczy, że traktują temat nad wyraz poważnie. To tyle z Wilna. Dla TVM mówiła Łucja Szczypińska.

– No proszę. I kto by pomyślał, że ten nowy rosyjski prezydent zacznie kadencję od takiego kroku – Sokół aż gwizdnął z podziwem. A już mało kto liczył, że Rosjanie kiedykolwiek odkręcą kurek z gazem, który przykręcali każdej zimy Białorusi czy Ukrainie, a przy okazji i Polsce. To była cena za krytykę rosyjskiej „demokracji”.

– Coraz wyższa cena – pomyślał i wyłączył telewizor.

*

W tym samym czasie ekipa TVM w Wilnie zwijała kable. To znaczy zwijali je technicy, bo Szczypińska nie była zwykłą parą swoich delikatnych rąk jakimikolwiek pracami fizycznymi. Oddała mikrofon jednemu z techników i ruszyła w kierunku sali bankietowej pałacu prezydenckiego. Drzwi do przestronnego pomieszczenia, w którym bez problemów dwie drużyny koszykówki mogłyby rozegrać mecz, były już

otwarte. Po obfitej kolacji większość gości wyszła na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Ci, którzy zostali, przeszli do równie przestronnego korytarza. To właśnie tu i teraz, a nie podczas oficjalnego obiadu, decydowały się losy szczytu. Wszyscy widzieli, że najważniejsze decyzje zawsze zapadają w kuluarach.

Szczypińska wzięła drink od kelnera i ruszyła w stronę tarasu. W rogu stał polski minister spraw zagranicznych.

– I jak reakcja naszych towarzyszy? – spytała, akcentując ostatni wyraz.

– Tak jak się spodziewaliśmy. Są zadowoleni, że informacja o moście energetycznym wyszła na jaw właśnie teraz – odpowiedział minister wyraźnie zadowolony. – Na tym szczycie Rosjanie chcą uzyskać kilka ustępstw ze strony Unii. Oferta dwudziestoletniej umowy na dostarczanie gazu może im w tym tylko pomóc. A że najbardziej zyska na tym Polska, no cóż... – uśmiechnął się i zmrużył lekko oko. – A jak tam pani szefowie. Zadowoleni z materiału?

– Zawsze są zadowoleni, gdy nasza stacja jako pierwsza puszcza takiego newsa – odpowiedziała uśmiechem.

– Trudno było załatwić, żeby to pani nadała ten materiał, a nie redaktor Prosch?

– Taki news mógłby nadać ktokolwiek z firmy, kto zgłosiłby temat. A tak się złożyło, że ja go zgłosiłam – zalotnym ruchem poprawiła kosmyk opadających, kręcących się włosów. To był jej bodaj największy atut jako kobiety. Włosy, długie i szalowo zakręcone – naturalnie, a nie przy pomocy lokówki – sprawiały, że większość mężczyzn traciła przy niej głowę. W tej grupie znajdował się też minister.

– I nie przeszkadzało nawet to, że informacje były nieoficjalne? – minister wychylił kolejny łyk drinka. To była druga porcja po obiedzie. Przy jedzeniu wypił dwa kieliszki czerwonego wina i teraz jego oczy zaczynały się już lekko świecić.

– Ani trochę. Tym bardziej że pochodziły z tak pewnego źródła – odparła, przejechawszy językiem wolno po dolnej wardze.

Oczy ministra zaświeciły się jeszcze bardziej.

*

– Widzisz, Michaił, tę łaskę obok polskiego ministra? – spytał Walerij Jagodow, szef kancelarii rosyjskiego prezydenta. Obok niego stał Michaił Bogaczynski, najbogatszy Rosjanin, którego majątek amerykański „Forbes” szacował na co najmniej siedemnaście miliardów dolarów. Lwia część tych pieniędzy pochodziła z handlu ropą i gazem ziemnym.

– Niezła. Ale bez trudu znalazłbym setkę ładniejszych. Kim ty mi do cholery zawracasz dupę, Walerij? – zachnął się Bogaczynski. Zachodnie tabloidy zachwycaly się jego nie-nagannymi manierami, ale gdy tylko znikał z salonów, ulatywały one jak zapach tanich perfum. Potrafił być brutalny i to nie tylko w słowach. Ale przecież siedemnastu miliardów dolarów nie zarabia się za pomocą uśmiechu. – Rozejrzyj się. Tylko w tej sali widzę pięć babek, które z chęcią zaprosiłbym na after party – wychylił drink do końca i rozejrzał się za kelnerem.

– I właśnie dlatego nigdy nie będziesz dobrym politykiem, Michaił – westchnął Jagodow. – Nie potrafisz utrzymać fiuta na wodzy. Stary, jak ty do cholery zarobiłeś te miliardy? Myśląc cały czas kutasem? – twarz Jagodowa nabrała czerwonego koloru. Minister naprawdę się wkurzył. – Czy ja cię pytałem, czy ona ci się podoba? Nie – odpowiedział, nie czekając na potwierdzenie.

– Dobrze już, dobrze. Nie denerwuj się, Walerij – poklepał ministra po ramieniu. – Nie miałem nic złego na myśli. To kim jest ta babka? – spytał, żeby go udobruchać.

– Cipa, która myśli, że złapała Pana Boga za nogi. Przed chwilą w polskich wiadomościach podała informację, jakoby

nasz kraj zamierzał podpisać z Unią długoterminową umowę na dostawy gazu. Wyobrażasz sobie, Michaił? – Jagodow znowu się wzburzył. – Nasza matula Rasija ma się płaszczyć przed Polaczkami, Niemcami i jeden Bóg wie kim jeszcze? Nasz kraj, który ma największe złoża energetyczne w tej części świata, ma im się podporządkować? – zaperzył się minister. – Nigdy!

– Ty chyba nie mówisz o moście energetycznym tego durnia Patuszkin? – przerwał mu Bogaczynski. Zgromadzony w jego ciele alkohol jakby wyparował w jednej chwili. – Przecież mówiłeś, że ministerstwo gospodarki wyperswadowało prezydentowi takie rozwiązanie. Mówiłeś, że ta opcja nie przejdzie – zazgrzytał zębami na myśl, ile mógłby stracić, gdyby jednak wersja prezydencka wzięła górę.

– Mówiłeś, mówiłeś – obruszył się Jagodow. – A co ty myślisz, że kto ja jestem? Pan Bóg wszechmogący? Przed wyborami Patuszkin jadł nam z ręki, licząc na poparcie. Ale gdy tylko wygrał, zaczęło mu się wydawać, że może już sam rozdawać karty. Swołocz – wytarł usta papierową chusteczką, zgniótł ją w rękę i wyrzucił do stojącej obok donicy z rozłożystym fikusem.

Bogaczynski nie odezwał się, trawiąc to, co przed chwilą usłyszał z ust Jagodowa.

– Michaił, na razie górą jest Patuszkin. Ale to dopiero pierwsze rozdanie. Za dwa tygodnie to my rozbijemy bank – Jagodow uśmiechnął się na samą myśl o swoim planie. Genialnym planie, trzeba nieskromnie przyznać.

– Nie zmusisz Patuszkiną do posłuszeństwa – pokiwał głową Bogaczynski. – Jego teczka z bezpieki już dawno temu rozplynęła się w powietrzu. Szantaż też nie wchodzi w grę. Facet nie ma kochanki, lewego konta w szwajcarskim banku. On nawet nie palił trawki!

– Michaił, Michaił. Stanowczo za dużo pijesz – Jagodow delikatnie złapał miliardera za brodę i obrócił jego twarz w stronę swojej. – A kto powiedział, że ja chcę zmusić do posłuszeństwa naszego prezydenta? – spytał akcentując słowo „naszego”.

– A kogo?

– Kogoś, komu na moście energetycznym zależy jeszcze bardziej.

– Ja chyba rzeczywiście za dużo wypilem, Walerij – Bogaczynski smutnym wzrokiem zajął do pustej szklanki. – Nie nadążam za tobą.

– Co byś powiedział, gdyby jeszcze podczas tego szczytu polski prezydent wystąpił przeciwko budowie mostu i zaproponował ułożenie kolejnej nitki gazociągu jamalskiego?

– Ale jakim cudem? – zdziwił się Bogaczynski. – Chyba jednak to ty za dużo wypileś. To jest nierealne. Dla Polaków ten most energetyczny jest jak złote runo.

– Masz rację, Michaił. – Jagodow spojrział na zegarek.

– Dwadzieścia cztery minuty temu rozpoczęła się operacja „Kulig”. Po jej zakończeniu polski prezydent będzie jadł nam z ręki. I co więcej – podniósł palec wskazujący lewej ręki – będzie nam za to wdzięczny.

ROZDZIAŁ 5

Mężczyzna w ciemnym płaszczu od godziny czekał na Magdę Pawłowską w jej drugim mieszkaniu, w Nowej Soli. To był Gruszkin, były pułkownik Specnazu, służb specjalnych wywodzących się jeszcze z czasów Związku Radzieckiego. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka: była 21.33. Pociąg – sprawdził to na dworcu – przyjechał o 20.30, z dziesięciominutowym opóźnieniem. Kuchenka gazowa i czajnik

elektryczny w mieszkaniu dziewczyny były zimne. Przyjął więc, że obiekt – jak nazywał swoje ofiary – po przyjeździe do miasta nie poszedł prosto do domu, tylko wpierw odwiedził rodzinę. Z tego co pamiętał z planu miasta, ulica przy której mieszkały siostra i matka dziewczyny, leżała jakieś pięć minut drogi od torów kolejowych. Stamtąd do swojego mieszkania miała pięć, góra dziesięć minut. Powinna więc przyjść pieszo, a nie jechać taksówką.

– Chyba, że po drodze przytrafiło jej się coś złego – pomyślał. – Nie – uśmiechnął się pod nosem – dopiero tutaj przytrafi się jej coś złego.

Nagle poczuł na plecach dreszcz. A jeśli postanowiła nie nocować w domu, tylko zostać u rodziny? Albo jeśli powiedziała im już o wszystkim? Wtedy musiałby zabić także siostrę i matkę. A tego nie dałoby się już upozorować na przypadkowy napad. Zagryzł z nerwów wargi. Niedobrze.

Wtem usłyszał jakiś ruch na schodach. Chwilę później do jego uszu dobiegł wyraźny dźwięk stukających o drewniane stopnie butów na obcasie. Potem usłyszał odgłos wkładania klucza do górnego zamka. Wziął głęboki oddech i rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. W ciemności namacał lewą kieszeń kurtki. Paszport na fałszywe nazwisko – jedno z wielu, którymi się posługiwał – był na miejscu. Kluczyki do zaparkowanego nieopodal auta też były tam, gdzie być powinny. Wszystko w jak najlepszym porządku.

– No chodź, małeńka – szepnął. W tym momencie usłyszał odgłos klucza wkładanego do dolnego zamka. Widząc, jak klamka się ugina, wstrzymał oddech i jeszcze mocniej zaciśnął dłoń na nożu.

*

Mieszkanie Sokoła nie było duże, ale za to przytulne. Tak przynajmniej sądził Sokół. Odmienne zdanie mogłaby mieć każda kobieta, którą by tu zaprosił. A gdyby to była niez-

powiedziana wizyta, jej skutki mogłyby być jeszcze bardziej opłakane. Co prawda skarpetki na podłodze się nie walały, Sokół do takich bałaganiarzy nie należał, ale już pajęczyny pod sufitem było widać.

Mieszkanie składało się z pokoju, kuchni oraz maleńkiej łazienki i znajdowało się na piętrze starego domku jednorodzinnego, pamiętającego czasy, gdy Nowa Sól nazywała się Neusalz i gospodarzyli w niej Niemcy. Wiele lat temu poprzedni właściciel domku przerobił piętro na część mieszkalną, którą obecnie wynajmował Sokół. Niestety, łazienka z ubikacją znajdowały się poza mieszkaniem, żeby się do nich dostać, trzeba było wyjść z kuchni na korytarz. W łazience zmieścił się tylko prysznic, zlew i miska klozetowa. Ta ostatnia znajdowała się pod spadzistym dachem, korzystając z niej trzeba było uważać, aby nie uderzyć głową w sufit. Za to kuchnia była przestronna. W pokoju, który jednocześnie pełnił rolę sypialni i gabinetu, obok łóżka stało biurko z komputerem, mała ława i stolik pod telewizor. Na szczęście pomieszczenie było na tyle duże, że znalazło się miejsce na rozłożenie ławki do ćwiczeń oraz dwóch sztang.

Mini siłownia, jak zawsze, była w pogotowiu, jednak Sokół po pracy bywał zwykle tak zmęczony, że nie miał już sił na ćwiczenia. Najczęściej jego jedyną aktywnością fizyczną było więc machanie sztucami przy posiłku, a ten z reguły wyglądał tak samo, czyli ograniczał się do pizzy. Po powrocie wieczorem do mieszkania wyciągał zamrożony spód do tego włoskiego dania z zamrażalnika, gdzie zawsze leżał spory ich zapas. Na to kładł cieniutko pokrojoną kielbasę, czasami wcześniej ugotowane na twardo jajko. Jeszcze trochę cebuli dla smaku, plasterek lub dwa pomidora i mnóstwo kukurydzy z puszki. Na koniec dużo żółtego sera. Po dwudziestu minutach pieczenia w piekarniku posiłek stał gotowy na stole.

Jeśli w telewizji nie było akurat żadnego ciekawego filmu, wybierał coś z domowej filmoteki kaset video i płyt dvd. Tak było i tego wieczora. Miał ochotę na jakąś sensację, może thriller. Kilkanaście minut szukał jednego z ulubionych filmów, jakim było „Coś” z Kurtem Russellem w roli głównej. Ale nie mógł go znaleźć, pewnie komuś pożyczył. Zdecydował się więc na „Drogę bez powrotu”. Jakies dwa, trzy lata wcześniej oglądał już ten thriller, ale postanowił odświeżyć pamięć.

Po chwili oglądania włączył „pauzę” i wyszedł sprawdzić, czy zamknął drzwi na klucz. Mimo że były zamknięte, czuł się nieswojo. Wrócił do pokoju i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien dalej oglądać film. Po namyśle włączył „odtworzenie”.

Dziewczyna, jedna z głównych bohaterek, stała właśnie na grubej gałęzi drzewa, próbując ukryć się przed napastnikiem. Nagle ciszę rozciął świst tasaka, który uderzył ją dokładnie w miejsce między ustami a nosem. Słowo „rozciął” pasowało tu najbardziej, bo dolna część ciała spadła w dół, a na ostrzu tasaka została reszta głowy. Świadkiem tego była pozostała dwójka bohaterów. Druga z dziewczyn prawie zemdlała na ten widok. Napastnik chyba coś usłyszał, bo zaczął się rozglądać.

Gdy w tym momencie zadzwoniła komórka, Sokół z wrażenia spadł z fotela.

*

– To linia kodowana. Możesz mówić normalnie – Jagodow rzucił szybko do słuchawki.

– Już po wszystkim – Gruszkin był z siebie zadowolony.
– Czego się dowiedziałeś?
– Dziewczyna wiedziała o zdjęciach.
– Kurwa mać! – zaklął Jagodow. – Co z nimi? Znalazłeś je?

- Przy sobie miała tylko ich kopie. Oryginałów nie.
- To gdzie one są, kurwa, skoro w mieszkaniu ciotki też ich nie było?! – Jagodow wrzeszczał do słuchawki.
- Wysłała je pocztą – odpowiedział spokojnym tonem Gruszkina.
- Co zrobiła?
- Wysłała pocztą – powtórzył. – Włożyła dokumenty do koperty, nakleiła znaczek i...
- Wiem, co to znaczy wysłać coś pocztą. Nie musisz mi tego tłumaczyć, jak trzyletniemu dziecku – Jagodow przerwał mu zdenerwowany. – Dokąd je wysłała?
- Do pewnego dziennikarza z Nowej Soli, z regionalnej gazety – Gruszkina spojrzał na kartkę, na której zapisał nazwę dziennika – „Nowego Głosu Lubuskiego”. Dzwoniła do niego tuż przed wyjazdem z Wrocławia. Umówiła się na spotkanie na jutro.
- Głosu czego? – zdziwił się Jagodow. – Nie słyszałem o takiej gazecie. Czemu nie dała znać „Dziennikowi”, „Gazecie Wyborczej” albo „Rzeczpospolitej”?
- Bo się bała, że ktoś z Warszawy mógłby być w to zamieszany. Wolała rozmawiać z dziennikarzem lokalnej gazety.
- Mniejsza z tym. Co z pismakiem? Ile wie?
- Tego jeszcze nie zdążyłem się dowiedzieć – powiedział Gruszkina i nerwowo zagryzł wargi.
- Bo...?
- Ktoś zaczął hałasować na zewnątrz i musiałem ją uciszyć.
- Zabiłeś dziewczynę zanim się wszystkiego dowiedziałeś? Świetnie – syknął Jagodow. – Z kim ja muszę pracować. Załatwiłeś jeden problem i stworzyłeś drugi. Teraz nie dość, że trzeba odnaleźć zdjęcia, które być może krążą już po Polsce, to jeszcze trzeba się będzie zająć tym pieprzonym dziennikarzyną! – wykrzyczał do słuchawki.

Gruszkina milczał.

– Zaczynasz tracić kontrolę nad sytuacją – Jagodow już nie krzyczał, ton jego głosu był chłodny.

Gruszkina z trudem przełknął ślinę. Pamiętał, co się dzieje z ludźmi Jagodowa, którzy tracą kontrolę nad sytuacją. Za nic w świecie nie chciał pójść w ich ślady.

– Szefie, mamy trupa młodej dziewczyny i dziennikarza, który może o niczym nie ma pojęcia, a może wie aż za dużo. Musimy przyjąć tę drugą wersję – powiedział Gruszkina, gdy już przełknął ślinę.

– Jakiś ty błyskotliwy.

– Nie możemy też znaleźć oryginałów zdjęć – ciągnął niezrażony ironiczną uwagą szefa. – A musimy je mieć. No, przynajmniej mieć pewność, że zostały zniszczone. Kiedy zanieśliem dziewczynę do jej mieszkania, sprawdziłem komputer. W folderze nazwanym imieniem jej chłopaka znalazłem cyfrowe kopie naszych fotografii. Było tam też kilkadziesiąt innych folderów, a w każdym po kilkadziesiąt plików tekstowych. Nie miałem czasu ich przeglądać, więc zgrałem je na płytę CD i wykasowałem cały folder z komputera. Nie formatowałem dysku, bo policji mogłoby się to wydać dziwne – stwierdził. – Reasumując: mamy trupa, dziennikarkę na plecach, ale brakuje oryginałów zdjęć. Wykombinowałem jak te trzy problemy rozwiązać za jednym zamachem.

– To znaczy? – spytał Jagodow.

Gruszkina w kilku zdaniach wyjaśnił swój plan.

– A jednak nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Może jeszcze będą z ciebie ludzie, Gruszkina – Jagodow pochwalił pułkownika. – Jesteś pewny tych ludzi w polskiej policji i służbach bezpieczeństwa?

– Jak siebie samego – zapewnił. – Znamy się od dwudziestu lat i regularnie wyświadczamy sobie pewne, tak to nazwijmy, przysługi. Pomijając to, że dla odpowiednio dużych pieniędzy

dzy zrobią wszystko. Marnie im tu płacą, tak samo zresztą, jak u nas.

– No to do roboty. Tylko, Gruszkina...

– Tak?

– Tym razem niczego nie spieprz.

*

Jagodow odłożył telefon na stolik i wziął do ręki szklankę z drinkiem. Nie był już tak zdenerwowany, jak jeszcze pięć minut temu. Wychylił powoli łyk dżinu z tonikiem.

– Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że idzie całkiem dobrze – pomyślał. Oczywiście pojawiły się pewne komplikacje – jak chociażby ten dziennikarz – ale takie operacje, jak ta, nigdy nie odbywały się bez perturbacji. – „Każda wojna przebiega według planu tylko do momentu jej rozpoczęcia” – przypomniał sobie starą maksymę. Na szczęście miał kogoś takiego jak Gruszkina. Zaprawionego w boju specjalistę od mokrej roboty. Lojalnego i oddanego.

– Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim – uśmiechnął się na tę myśl. Gdyby tylko jego poprzednik nie popełnił takiego błędu i nie wysłał zdjęć do tej kobiety we Wrocławiu. Zamiast zmuszać ją do siedzenia cicho przy pomocy szantażu, trzeba było od razu ją zabić. I teraz nie trzeba by uganiać się za jakimiś amatorami w zapadłych dziurach.

– Cóż, nie każdy ma tak błyskotliwy umysł. Nie od każdego można wymagać, żeby był tak przewidujący – zganił się w myślach. Nie każdy miał taki analityczny zmysł, jak on. Tak jak nie każdy mógł świecić takie triumfy w szachach. W królewskiej grze, w której przeciwnik bezlitośnie wykorzystywał każdy błąd.

– Niektórych pomyłek naprawić już się nie dało. Jak w życiu, jak w szachach – westchnął. W szachach, jak w życiu, za błędy trzeba słono płacić. Przypomniał sobie Jewrionowa, swojego poprzednika na stanowisku, który za swój błąd za-

płacił najwyższą cenę. Bo mocodawcy Jagodowa nie tolerowali nawet najmniejszych pomyłek.

Z tą myślą, co spotkało Jewrionowa, Jagodow zrobił drugiego drinka, wychylił go potężnym haustem i spojrzał w dno szklanki. Na dziś dość już picia. Sięgnął po komórkę leżącą na stoliku, wybrał numer. Po trzech sygnałach usłyszał krótkie:

– Tak?

– Dobry wieczór, panie ambasadorze – powiedział najmiłym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. Dzwonił do ambasadora Polski na Litwie, Stefana Koszyca. Do człowieka, którego nienawidził. Mało tego, którym gardził. Za te jego niezliczone wypadki do najlepszych domów publicznych Moskwy i za to, co robił z prostytutkami. – Stary, pierdolony zboczeniec – pomyślał, ale szybko przywołał się do porządku.

Teraz nie liczyło się to, co myślał o ambasadorze i to, co ten robił z jego krajankami. Ważne było tylko to, że w tej fazie operacji Koszyc był mu potrzebny. Dopóki operacja „Kulig” nie zakończy się sukcesem, potrzebował świeżych informacji o przebiegu rokowań w sprawie mostu energetycznego. Po pierwsze: żeby wiedzieć, ile czasu ma na wprowadzenie swojego genialnego planu w życie. Po drugie: aby – jeśli tylko zajdzie taka konieczność – przez naciski na odpowiednich ludzi kontrolować przebieg rozmów i zyskać trochę czasu. Może dzień, może dwa, może kilka godzin. Tyle, ile będzie niezbędne. A potem... – Potem ambasador nie będzie już potrzebny. I nigdy więcej nie podniesie ręki na rosyjską prostytutkę. Na żadną prostytutkę – uśmiechnął się na myśl o tym, co spotka Koszyca.

– Panie ambasadorze – zaczął. – Nie chciałbym marnować pańskiego cennego czasu. Dlatego od razu przejdę do rzeczy. Z pewnym niepokojem oglądałem dziś wiadomości na kanale TVM...

– Nie ma powodów do żadnego niepokoju – zapewnił ambasador, przerywając pośpiesznie Jagodowowi.

– Nie ma powodów do niepokoju? – spytał gniewnie. Nie lubił, kiedy ktoś mu przerywał, ale szybko się opanował. – Z tego przecieku, który ujawniła dziennikarka wynika, że realizacja mojego interesu może być poważnie zagrożona.

– Chyba naszego? – zdziwił się Koszyc. – Myślałem, że to nasze wspólne przedsięwzięcie.

– Naturalnie, panie ambasadorze, to tylko przejęzyczenie – zapewnił szybko. – A propos tej dziennikarki, to muszę przyznać, że na ekranie telewizora prezentuje się atrakcyjnie. Ciekawe czy jest równie atrakcyjna na żywo? – zmienił temat.

– O, mogę pana zapewnić, że na żywo jest jeszcze bardziej pociągająca. Ma wiele atutów – odpowiedział Koszyc. Jagodow oczyma wyobraźni widział, jak ambasador oblizuje usta, myśląc o brunetce i jej „atutach”.

– Zostawmy kobiety na boku i skupmy się na interesach. Proszę mnie na bieżąco informować o przebiegu rozmów. I bardzo liczę na to, że o takich przełomach jak dzisiejszy będę się dowiadywał nie z telewizji, tylko od pana, panie ambasadorze – rzucił oschle. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie był może trochę za ostry, ale stwierdził, że Koszyc powinien wiedzieć, kto tu jest szefem.

– To nie takie proste – wykrztusił ambasador łamiącym się głosem, był wyraźnie zdenerwowany. – Dla moich mocodawców most energetyczny jest bardzo ważną sprawą. Wszelkie rozmowy na ten temat trzymają w wielkiej tajemnicy.

– Tajemnica, o której wie więcej niż jedna osoba, przestaje być tajemnicą – rzucił filozoficznie Jagodow. – A poza tym, panie ambasadorze, doskonale wiem, jak ważna to sprawa dla polskiego rządu. Ale chyba nie muszę panu przypomni-

nać, że równie ważna, a może i znacznie ważniejsza, jest ona dla mnie i dla pana. A że trudno panu wyciągnąć jakieś informacje... – zawiesił na chwilę głos. – Gdyby było łatwo, nie płaciłbym panu za to takich pieniędzy. Jutro o tej samej porze czekam na telefon od pana. Z konkretnymi informacjami.